

Moniki Śliwińskiej *Wyspiański. Dopóki starczy życia*, czyli Komu bije dzwon Zygmunta

Wyspiański, czyli komu bije dzwon Zygmunta

"Zabrzączał Zygmontowski Dzwon

i bije jako młotem,

a trąby huczą po przestworzu,

hej, Zygmontowskim lotem!

(Stanisław Wyspiański, "Akropolis", 1904)

W czwartek po południu dnia 28 listopada 1907 roku Wyspiański jeszcze żyje. Za oknami szpitala przy ulicy Siemiradzkiego (w Krakowie), gdzie leży, ciemnieje, dzień kończy się o 15:43.

Adam Chmiel, bliski znajomy ostatnich lat: *"Stan był już beznadziejny i nikt z nas nie łudził się, choć opieka lekarska była bardzo staranna i nic nie zaniedbano"*.

Nad łóżkiem konającego pochylają się razem z Chmielem: ciotka Stankiewiczowa, Wilhelm Feldman i Józef Skąpski. Ktoś pyta, czy chciałby się jeszcze zobaczyć z żoną... Odpowiada z trudem: *"Może lepiej, że żony nie ma. Nie przeżyłaby tej chwili..."*.

Umiera krótko po 17. Świadkowie opowiadają, że akurat zerwała się silna wichura.

Monika Śliwińska rozpoczyna książkę o życiu artysty zatytułowaną "Wyspiański. Dopóki starczy życia" od dokładnego opisu pogrzebu, który zaczął się w poniedziałek 2 grudnia o godzinie 9:30 wyprowadzeniem trumny z kościoła oo. pijarów u wylotu ulicy Jana. Tymczasem Kraków ściał mróz, prószy drobny śnieg. Trumnę niosą koledzy-malarze, kondukt prowadzi archiprezbiter Józef Krzewiński w otoczeniu grona duchownych. Za trumną idzie wdowa Teodora Teofila Wyspiańska podtrzymywana przez Lucjana Rydla i Adama Chmiela. Dochodzą do kościoła Mariackiego.

Od kościoła Mariackiego po wylot ulicy Grodzkiej na Rynku i w okolicznych ulicach gromadzą się tłumy, ludzie wyglądają z okien, źródła mówią, że ok. 40 tysięcy krakowian i przyjezdnych żegna Stanisława Wyspiańskiego - a

trzeba wiedzieć, że ok. 100 tysięcy mieszkańców liczy wtedy cały Kraków, tyle co obecny Tarnów. W kościołach biją dzwony, kondukt z trumną na czarnym wysokim rydwanie zaprzężonym w trzy pary koni zmierza Grodzką, Stradomiem i Krakowską w stronę Skałecznej i kościoła Na Skałce. Gdy zbliża się pod Wawel, rozlegają się charakterystyczne niskie, głębokie dźwięki bicia serca dzwonu Zygmunta. Pogrzeb jest wielką patriotyczną manifestacją.

Niespełna 97 lat później, 27 sierpnia 2004 roku, w piękny letni dzień, Kraków wraz z przyjezdnymi żałobnikami odprowadza tą samą trasą - spod kościoła Mariackiego do kościoła oo. paulinów - poetę Czesława Miłosza zmarłego 14 sierpnia, spocznie w Krypcie Zasłużonych, tam gdzie Wyspiański. Idę i ja w kondukcje, blisko karawanu z trumną, robię zdjęcia, napiszę reportaż... Pogrzeb odbywa się w atmosferze skandalu co samo w sobie jest skandalem. Dzwon Zygmunta? Nie pamiętam, żeby bił. W Polsce pod rozbiorami Polacy się jednoczą, w wolnej Polsce dzielą.

Pogrzeb Miłosza zostanie zapamiętany jako dramat społeczny. Wyspiański znany jest najbardziej z dramatu narodowego "Wesele", a dramat "Wesele" najbardziej jest znany z chocholego tańca. Chocholi taniec w "Weselu", jeden z najbardziej znanych symboli w literaturze polskiej, obraz uśpienia, niezdolności do czynu, trwania w letargu, to "scena arcypolska", uczymy się o tym w szkołach. Wyspiański miał do Krakowa stosunek ambiwaletny, miasto kochał, zadufanych w sobie krakowskich mieszczan - nie:

*O kocham Kraków - bo nie od kamieni
przykrościm doznał - lecz od żywych ludzi,
nie zachwieje się we mnie duch ani się zmieni,
ani się zapał we mnie nie ostudzi,
to bowiem z wiary jest, co mi rumieni
różanym świtem myśl i co mię budzi.
Im częściej na mnie kamieniem rzucicie,
sami złożycie stos - - stanę na szczycie.*

Przed Wyspiańskim w Krypcie Wielkich Polaków spoczęli: Jan Długosz, kronikarz i wychowawca synów króla Kazimierza Jagiellończyka, fundator świątyni Na Skałce, w 400. rocznicę śmierci (1480) przeniesiony z grobowca w kościele paulinów do Krypty 18 maja 1880, 11-letni Staś Wyspiański mieszkał wtedy wraz z ojcem w Domu Długosza pod samym Wawelem ("*U stóp Wawelu ojciec miał pracownię*", zaczyna się jeden z jego najbardziej znanych wierszy). Leżą tam też przeniesieni po latach z innych cmentarzy Wincenty Pol (1807-1872), w Krypcie od 1881, i Lucjan Siemieński (1807-1877) w 1877.

W 1887 roku uroczystie spoczął Na Skałce Józef Ignacy Kraszewski (Wyspiański go sportretował), po nim zmarły we Florencji Teofil Lenartowicz (1893), następnie Adam Asnyk (1897), którego poezję Wyspiański niezbyt cenił ("*Asnyk... tak... Asnyk to taki wypchany orzeł, ma wszystko - dziób, skrzydła, tyle tylko, że nie polec...*"), oraz

Henryk Siemiradzki (1902), autor kurtyny do nowego Teatru Miejskiego (od 1909 im. Słowackiego), którą Wyspiański, autor projektu kurtyny przypadłej w konkursie (podobnie jak kurtyna Józefa Mehoffera, przyjaciela Wyspiańskiego), krytykował ("*Pomysł jest naściślej banalny, prócz tego geniuszka płaczącego nad urną i ruchu dziewczyny którą ktoś chce mordować (zaraz obok) nie ma w całym tém dużém płótnie nic więcej godnego uwagi*").

Pierwszy po drugiej wojnie światowej pochówek miał miejsce w 1954 roku, tym razem chowano Ludwika Solskiego. Starszy o 14 lat od Wyspiańskiego aktor i dyrektor teatru przeżył go o 47 lat dożywszy prawie setki. Obaj współpracowali i konkurowali ze sobą. Konkurowali o dyrektorski stołek w Teatrze Miejskim, wygrał Solski. "*Skoro Pan już będzie miał komplet listów w kwestii teatralnej, owinie je Pan w ceratę, zaszyje, zwiąże, umocuje u zwitka kamyk i rzuci w wodę pod Santa Maria della Salute*", pisał Wyspiański z Krakowa do Wenecji do Stanisława Lacka wieczorem 12 kwietnia 1905 roku, w przeddzień przegranej, list zaczynał się tak: "*Wieczór. Burza, pioruny biją i co chwila błękitną filoletową barwę rzucą na pokój, stół, aż pod lampę po suknie czerwonym, i rumoty. - Sprawa się zmienia. - /.../ Podobno wczoraj w Komisji teatralnej była wojna, ostra sprzeczka, bo był zamiar niepostawienia wcale mojej kandydatury. Podobno będzie na Radzie wojna. /.../*".

W roku 1955 przeniesiony został do Krypty na Skałce zmarły rok wcześniej astronom i matematyk Tadeusz Banachiewicz. Jego przenosiny wywołały skandal, więc dano sobie spokój aż do pogrzebu Miłosa prawie pół wieku później. Ale tym razem też nie obyło się bez skandalu, choć z innych pobudek. I teraz od 15 lat już nikt "Zasłużony". W Krypcie nie ma więcej miejsc, ostatnie paulini przeznaczyli dla siebie. Posłannictwo zakonu to "*kontemplacja Boga w samotności, umiłowanie modlitwy liturgicznej i pokuty, kult maryjny, działalność duszpasterska jako służba pielgrzymującemu ludowi bożemu*". A lud boży, wiadomo, różny jest.

Wyspiański od ponad stu lat spoczywa wśród duchów sobie w ten czy inny sposób bliskich i znajomych. Ale dlaczego umarł? Dlaczego umarł tak młodo? Nie dożył nawet 39 lat, jest z odstępem najmłodszym spośród "Zasłużonych" Na Skałce. Dlaczego umarł, to jedno, i czym sobie zasłużył, to drugie... Czy można zaryzykować stwierdzenie, że to on był spośród nich wszystkich największym geniuszem? Jak zresztą można zmierzyć geniusz? Jaką skalą? Jakim metrem?

Biografia pióra Moniki Śliwińskiej krok po kroku, kartka po kartce, strona po stronie i cytat po cytacie przybliża nas do artystycznego geniuszu i życiowego dramatu Wyspiańskiego. I nie jest to mniej czy bardziej fabularyzowana opowieść biograficzna, jakich napisano już wiele, to jest twardy dokument, akta w sprawie życia, twórczości, choroby i śmierci. Autorka wzorem rasowego detektywa pieczołowicie zebrała i zweryfikowała dokumentację i dokonując wyboru tego, co uznała za istotne, ułożyła z niewątpliwie sporego stosu świadectw zwięzły choć ciągle jeszcze prawie 500-stronicowy raport ze śledztwa, jak żył i co go zabiło. Niczym sumienny oficer śledczy przedstawia go nam, czytelnikom-sędziom, do rozpatrzenia.

Niewiele jest w książce historycznego tła, opisów miejscowości, gdzie żył lub bywał Wyspiański, nie ma fantazjowania, zagłębiania się w nieistotne szczegóły, zbytniego zapuszczania się w spekulacje, są suche informacje, liczne cytaty, kopie rachunków i listów, są fakty i fotografie. Nie ma kopii obrazów, czy rysunków, wszystko to można znaleźć w innych książkach o Wyspiańskim, a najlepiej w wydaniach albumowych, lub - jeszcze lepiej - miejscach, gdzie są oryginały. Jedynym wyjątkiem jest rysunek żony podpisany "*Mało znany portret rysunkowy Teosi wykonany przez Stanisława Wyspiańskiego w 1901 roku*".

Całość czyta się jak wytrawny thriller. Z zapartym tchem. Z wypiekami na twarzy. Wiem to nie tylko po sobie, od kilku osób już to słyszałam, autorka wykonała ekwilibrystyczną pracę i postawiła na: przeczytajcie i osądźcie sami, macie wszystko, co jest potrzebne do wyrobienia sobie zdania i na tej bazie możecie sobie doczytać resztę, wedle potrzeby i uznania. Sama bibliografia to 7 maczkami zapisanych stron. To wymaga czasu i solidnych studiów. Poświęciłam na to bite 7 miesięcy, dokładnie od dnia 150. urodzin Wyspiańskiego, 15 stycznia 2019 roku, od dnia spotkania czytelników biografii Wyspiańskiego z udziałem jej autorki, Moniki Śliwińskiej, w bibliotece przy ulicy Krakowskiej blisko kościoła Na Skalce. I dnia, w którym zaraz po spotkaniu, na którym i ja byłam, napisałam wiersz "Spacerkiem po Krakowie" (na przyozdobionych jeszcze bożonarodzeniowymi kolorowymi neonami ulicach leżał topniejący śnieg, światła odbijały się w kałużach):

chodzę Krakowem wprzód i wstak

Plantami i Stradomiem

i wiem że kiedyś ten sam trakt

pokonywali oni

Wyspiański Miłosz Mrozek Lem

Szyborska i jej Włodek

i Kornel Filipowicz też

siostry Pareńskie młode

/.../

Nie do wszystkiego udało mi się dotrzeć, ale i tak uzbierała się góra książek, w tym książka poprzedzająca biografię Wyspiańskiego tej samej autorki pt. "Muzy Młodej Polski" o trzech siostrach Pareńskich, Marynie, Zosi i Lizce, tej "Marynie" ("*Szkoda, żeby szły na marno / te uczucia, co się garną*") i tej "Zosi" ("*Chciałabym kochać, ale bardzo, / ale tak bardzo, bardzo, mocno*") z "Wesela". (O ile wiem, autorka na czytanie, kwerendy i napisanie biografii Wyspiańskiego potrzebowała trzech lat, czytelnik dostał kwintesensję, a co sobie doczyta, to już jego wybór i chęć dociekania.)

Jako rodowita krakowianka, na dobitek wychowana też tuż pod Wawelem, mam Wyspiańskiego w najściślejszym zbiorze krakowsko-kulturowych memów, jak Wandę, smoka, lajkonika, czapkę-krakuskę z pawimi piórami... Oczywiście obejrzałam ostatnie, rocznicowe, retrospekcyjne wystawy w MNK, nabyłam katalogi itd. itp. Nawet pamiątkowy obelisk w Węgrzcach pod Krakowem, ustawiony tam, gdzie stał dom, który Wyspiański wraz z rodziną zamieszkiwał od lata 1906 do śmierci, odwiedziłam, wybieram się pod Tarnów do wsi Konary, miejsca pochodzenia Teosi de domo Pytko, ciągle doczytuję coś kolejnego i kolejnego... Już po ukazaniu się biografii "Dopóki starczy życia" (2017) pojawiły się kolejne, jeszcze tego samego roku piękne ilustrowane wydanie MNK Łukasza Gawła "Stanisław Wyspiański. Na chęciach mi nie braknie...", oraz imponująca rozmachem biografia-album Luby Ristujczyny "Stanisław Wyspiański. Artysta i wizjoner" (2019)...

Podstępna choroba - mroczna tajemnica talentu?

Już teraz z ręką na sercu mogę powiedzieć, zapoznałam się z Wyspiańskim. Dość na tym, że gdy przypominam sobie jak chorował i umierał, to jakbym traciła kogoś bardzo mi bliskiego, jakbym sama stała nad jego śmiertelnym łóżem a potem szła za trumną, jakby początek wieku XX był tuż tuż, rok 1907 dopiero co minął i właśnie trwa świeża żałoba. Jak to się stało, że śmierć zabrała tak młodego człowieka? Kto go zabił, lub raczej co go zabiło?

Książką "Wyspiański. Dopóki starczy życia" mam przed sobą akta sprawy, zeznania świadków, zbiór poszlak, domyślne wnioski i pole otwarte do wydania wyroku. Stąd jej wyjątkowa wartość. Jesteśmy sędziami. Jestem sędzią. *Nomen omen*. Choć nie z tych, których Wyspiański skarykaturował w sztuce "Sędziowie", jestem sędzią z przyszłości, mobilizuję całą swoją wnikliwość i wiedzę o dobre 100 lat pogłębioną, poszerzoną, uzupełnioną... Oczywiście wiadomo, że Wyspiańskiego zabił ten luj Krętek Błady. W 1905 roku dwóch niemieckich uczonych, zoolog Fritz Schaudinn i dermatolog Erich Hoffmann, zidentyfikowali go po raz pierwszy.

Ale od namierzenia winowajcy do skutecznego zwalczania musiały minąć jeszcze dwie wojny światowe, a przedtem odkrycie penicyliny przez szkockiego lekarza i bakteriologa Alexandra Fleminga (w roku 1928, Nobel w 1945)... Wyspiański nie miał szans na wyleczenie. Chorował lat przynajmniej 10, przeszedł przez wszystkie stadia kiły, aż go w końcu wykończyła. Zwykli ludzie wiedzieli, o ile wiedzieli, że Wyspiańskiego zabiła ta kur... franca. Legenda mówi, że Wyspiańskiego zaraziła w Paryżu modelka Gauguina, ciemnoskóra Annah zwana Jawajką, *La Javanaise*. Jednak Monika Śliwińska nie wierzy w tę legendę i przytacza dowody na to, że Wyspiańskiego zaraziła w Polsce, po jego ostatnim pobycie we Francji, jakaś pracownica krakowskiej drukarni. Biografka artysty przytacza różne świadectwa, wypowiedzi i domysły, i konkluduje:

"W świetle przytoczonych relacji i dokumentów można przyjąć, że zakażenie kiłą nastąpiło nie wcześniej niż jesienią 1895 roku, kiedy Teosia już spodziewała się dziecka, prawdopodobnie zaś około 1896-1897 roku".

Tu wtrącę istotną informację, a mianowicie, że często powtarzana data urodzin Heleny Wyspiańskiej, 30 (lub 31) maja 1895 roku, jest błędna, Monika Śliwińska dotarła do metryki urodzenia Heleny, z której niezbicie wynika, że Helenka przyszła na świat rok później, 30 maja 1896 roku. Przyczyna zamieszania w tej kwestii leży prawdopodobnie w próbach udowodnienia już po śmierci Wyspiańskiego przez jego ciotkę, Joannę (Janinę) Stankiewiczową, że Helenka nie była jego córką. Również wcześniejsza biografka Wyspiańskiego, Krystyna Zbijewska, autorka biografii pt. "Orzeł w kurniku" z 1980 roku i różnych tekstów o artyście podaje tę drugą datę.

Dlaczego to jest istotne? Bo albo Helenka poczęła się we wrześniu 1894 roku, albo - co wydaje się być ostatecznie udowodnione - we wrześniu 1895 roku. Moim zdaniem ma to też kardynalne znaczenie w kontekście choroby Wyspiańskiego, choroby w różnych swoich stadiach w różnym stopniu zaraźliwej. Bardzo w skrócie objawy choroby dzieli się na różne okresy: okres inkubacji trwa od 9 do 90 dni. Wtedy choroba jest najbardziej zakaźna. I - uwaga - pierwszy atak choroby może przypominać grypę. Drugi okres to jakieś dwa lata i wtedy chory ciągle jeszcze może zarażać. Ale po tym okresie już niekoniecznie. W ogóle choroba jest wyjątkowo zdradziecka - dopóki nie przejdzie w ostatnie, wyniszczające aż po śmierć stadium, łatwo ją zignorować, wyprzeć, a nawet

wręcz nie rozpoznać. Sączący się strupek? Ale w intymnym miejscu, bezbolesny, nieswędzący, sam się goi. Pierwszy atak choroby? Grypa! A potem choroba długo może przebiegać niemalże bezobjawowo.

Znajoma lekarka zasugerowała mi dotarcie do starych książek medycznych z opisami kiły, ponieważ w dzisiejszych czasach, uleczalności kiły, nie obserwuje się wszystkich stadiów choroby, co oczywiście, ale leczy się ją antybiotykami natychmiast od momentu rozpoznania (należy ją też natychmiast zameldować). Do tego czasu od pierwszej odnotowanej epidemii w Neapolu w roku 1494 kiła przez wieki była dość powszechna i leczono ją jak umiano: nacieraniem skóry chorego tzw. szaruchą, szarą maścią z 30% rtęci, co oznacza, że chory umierał zanim ozdrowiał, lub jeszcze drastyczniej - i to m.in. w Krakowie w szpitalu św. Sebastiana i Rocha (od 1528 w okolicach dzisiejszej ul. Sebastiana) - metodą polegającą na wkładaniu chorych do dobrze ogrzanego pieca, aby się wypocili po nacieraniu maścią z rtęcią. Ponieważ kuracja trwała zwykle trzy miesiące, ale wielu cierpiących umierało jeszcze przed jej zakończeniem, lepiej było się nie leczyć. Wyspiańskiego uratowało od tak brutalnego leczenia uczulenie na rtęć.

Ale - co ciekawe - w XIX wieku w artystycznych kręgach pojawiała się swoista "moda na syfa", zauważono bowiem, że choroba wprawdzie wyniszcza organizm, ale wzmacnia doznania, a więc potęguje talent, działa jak swoisty dopalacz. Iwona Kienzler w książce "W oparach absyntu. Skandale Młodej Polski" pisze:

"Ówczesni członkowie bohemy nie traktowali wcale tej choroby jako dopustu bożego, chociaż w owych czasach zakażenie krętkami było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Tak się bowiem składa, że kiła, opanowując mózg, jednocześnie uaktywniała jego komórki, powodując u zarażonej osoby wręcz nieziemskie wizje i majaki".

Z tego względu na "niemoc kurewników", jak bezpardonowo nazywano syfilis, cierpieli nie tylko amatorzy płatnej miłości, ale i artyści, którzy zarażali się chorobą celowo (na ile faktycznie celowo, trudno powiedzieć), chcąc przekroczyć ograniczenia stawiane im przez własny umysł, przenieść się w nowe, nieznane wymiary. Krótko mówiąc, kiła stanowiła dla nich w pewnym sensie substytut współczesnych narkotyków, po które i teraz sięgają rozmaici twórcy.

Koncepcja, że syfilis niszczy ciało, ale wzmaga doznania, pojawiła się już w końcu XVI wieku w Hiszpanii. Rozwinął ją dwa stulecia później francuski pisarz Léon Daudet. Choroba ta, pisał, jest równie dobrze biczem pobudzającym geniusz i talent, heroizm i ducha, jak i porażenie ogólne. I wyjaśniał, że przyczynia się ona do rozwoju: *"Z syna służącej robi wielkiego poetę, ze spokojnego drobnomieszczanina - satyra, z marynarza - astronoma lub zdobywcę".*

Do jakiego stopnia jest to cała prawda i tylko prawda, że syf działa(ł) jak substancja psychodeliczna, tego nie wiem, dość na tym, że na kiłę chorowali między innymi, jak wiemy lub przypuszczamy, Édouard Manet, Gustav Klimt, Henri de Toulouse-Lautrec, Vincent van Gogh i Charles Baudelaire, Friedrich Nietzsche, Oscar Wilde, Paul Gauguin i Karen Blixen. A wcześniej dożył sędziwego wieku cierpiąc na następstwa zakażenia kiłą Francisco Goya, przed nim zaś i to o wiele szybciej, syfilis miał zabić Albrechta Dürera, autora pierwszego znanego obrazu (z 1496 roku) przedstawiającego syfilityka. W Polsce oprócz Wyspiańskiego chorował też (pewnie m.in.) Kazimierz Przerwa-Tetmajer ("Poeta" z "Wesela", *"Widzę, że pani pamięta, / jaka komu etykieta / przylepiona i przypięta"*). Alfred Fournier, ekspert w temacie, szacuje, że pod koniec XIX wieku w Paryżu ok. 15% populacji chorowało na

kiłę, podobnie jak w innych wielkich miastach.

Nie tak dawno ukazała się książka pt. "Pox: Genius, Madness, and the Mysteries of Syphilis", autorką jej jest Deborah Hayden. Nie ma wydania polskiego, tytuł brzmiałby: "Syf: Geniusz, szaleństwo i tajemnice kiły" ("pox" w tym wypadku to nie "ospa", a potoczna nazwa kiły, syf znaczy), wyd. grudzień 2003. Co ciekawe, nie przetłumaczono tej książki na żadne inne języki, niemiecki czy francuski, nie wiem, czy uznano ją za niewartą tłumaczenia, czy z innych, pozamerytorycznych, powodów? Być może tezy w niej postawione są zbyt nonszalanckie? Czytałam też gdzieś, że zbadano niedawno szczątki (zęby) Gauguina pod kątem śladów rtęci, dowodu na leczenie kiły, i nic nie znaleziono, ale może też, jak Wyspiański, z jakichś przyczyn Gauguin nie leczył się maścią rtęciową?

"Kiła była mroczną tajemnicą życia", pisze Deborah Hayden. I bada biografie znanych historycznych postaci pod jej kątem. Wprawdzie takie retrospektywne badanie to nic pewnego, jednak pewne wzorce się powtarzają. Jedyna krytyka, jaką znam, mówi, że jest w jej książce sporo błędów. Być może autorka strywializowała to nader poważne zagadnienie, niemniej będę chciała się z książką zapoznać, nawet jeśli ostrożnie (400 stron tekstu, wszystko nie może być błędem). Poza tym akurat w przypadku Wyspiańskiego nie ma wątpliwości i faktycznie jego zachowania i symptomy wpisują się w ustalony przez autorkę wzór. Cytat z Hayden: "*Zaczyna się od zachowań seksualnych wysokiego ryzyka*". I nagle "*jest gorączka i złe samopoczucie /.../ Później w życiu badanego występują niezwykle zaburzenia emocjonalne i behawioralne, które mogą obejmować manię, euforię, depresję i halucynacje*". Wszystko to było udziałem Wyspiańskiego.

Jak czytam w opisie książki, "*Hayden używa kiły jako swoistego pryzmatu, przez który powinniśmy patrzeć na skomplikowany geniusz, szaleństwo i kreatywność niektórych z najbardziej wpływowych postaci ostatnich 200 lat*". Niewykluczone, że ta śmiertelna choroba zabrała nam Wyspiańskiego, ale wzmocniła jego geniusz? Że do jakiegoś stopnia to jej zawdzięczamy "Wesele", "Wyzwolenie", "Sędziów"... wspaniałe witraże, pastele, rysunki? Jedno jest pewne, gdyby nie miał talentu (talentów), nie byłoby czego wzmocniać.

W 1969 roku na łamach krakowskiego "Dziennika Polskiego" nr 66 ukazuje się artykuł Gustawa Groegera pt. "Nie plotki, lecz prawda", z którego Monika Śliwińska w biografii Wyspiańskiego cytuje następujące pytanie:

"Jak wytłumaczyć sobie psychologicznie, że Wyspiański - człowiek inteligentny, artysta, malarz, poeta - wiedząc o tym, że jest ciężko chory wenerycznie, nie ma skrupułów moralnych i decyduje się na utrzymywanie stałych stosunków płciowych ze zdrową, wiejską dziewczyną, nie obawiając się, że przyszłe swe dzieci obciążą skutkami choroby?"

Ja jednak postawiłam sobie inne pytanie: "*Jak to jest możliwe, że Wyspiański nie zaraził Teosi, a ona z kolei ich wspólnych dzieci w czasie ciąży drogą przezłożyskową?*"

I moim zdaniem odpowiedź jest taka, że w tym czasie już nie zarażał. Kiła jest bowiem bardzo agresywna w pierwszych tygodniach, kiedy krętek błądy się namnaża i rozsiewa po organizmie drogami chłonnymi i poprzez

kw. Po kilku tygodniach (9 do 90 dni, średnio 21) dochodzi o ogólnego zakażenia organizmu zwłaszcza węzłów chłonnych. Objawy łatwo można pomylić, jak się okazuje, z grypą, wysoka gorączka, powiększone węzły chłonne, kiepskie samopoczucie. Potem, gdy ten pierwszy silny atak mija, jeszcze jakieś dwa lata chory może zarażać, choć choroba może się rozwijać bezobjawowo (nie mówiąc o tym, że, chorobę można autentycznie zignorować, patrz wyżej). Po dwóch latach prawdopodobieństwo zarażenia się znacząco zmniejsza.

Gdyby więc Wyspiański zachorował w 1893 roku, a jego związek z Teosią zaczął się, powiedzmy, gdzieś po śmierci (5 sierpnia 1895) wuja Stankiewicza, czyli w drugiej połowie lata 1895 - a wtedy najpóźniej musiałby się zacząć, jeśli w maju 1896 ma się urodzić Helenka - to Teosia nie musiałaby się zarazić.

W roku 1892 Wyspiański wraca po półtora roku nieobecności z podróży zagranicznych w połowie października. Do Paryża wyjeżdża ponownie z początkiem lutego 1893 roku, 12 lutego Józef Mehoffer notuje w swoim dzienniku: *"Wyspiański jest już w Paryżu, mieszka ze mną - przyjechał przedwczoraj, rozmawialiśmy długo w noc - do 3 rano"*.

W niedzielę 9 kwietnia 1893 roku Mehoffer zapisuje: *"W piątek wróciłem późno wieczor, zastałem Wysp[iańskiego] w gorączce b. silnej, oddech miał krótki - przerywany i nierówny, niespokojny był, powiedział mi, że był Dejean u niego i Ślewiński - i ci dali mu pierwsze posługi. Było mi rzeczywiście b. przykro, że tak się stało beze mnie. Noc przeszła niespokojnie - nie spał - i wstawał często. Na drugi dzień był doktor - jeden Francuz - potem Lewenhard - powiedzieli, że influenza. /.../"*

W biografii "Dopóki starczy życia" czytam: *Początek kwietnia 1893. Aleksander Dejean do Józefa Mehoffera:*

O stanie zdrowia Stacha złe nowiny.

Co to jest?

Czy febra polska?

Czy influenza francuska?

Influenca to grypa. Pierwszy atak kiły można pomylić z grypą. Bingo!

Wyspiański w liście do Lucjana Rydla pisze (ok. 10 kwietnia, pisownia oryginalna): *Byłem tymi czasy chory - długi czas miałem gorączkę i zwidywały mi się różne obrazy i różne straszności. /.../ Innego znowu dnia gorączki, pod wieczór - o zmroku - chodził koło mnie Napoleon I. w swoim znanym długim palcie, szerokim kapeluszu, obcisłym jasnym ubraniu - patrzył na mnie - coś mówił głośno do siebie, potem wyszedł. - a jego gesta - zapamiętałem je i potrafiłbym je naśladować - często w roztargnieniu je powtarzam. - /.../*

Jednego dnia po południu jesteśmy w atelier razem z Mehofferem. dzień ładny - słońce w podwórzu - widać go

przez grube matowe szyby - Mehoffer leży na ziemi i kalkuje swój karton na chorągiew (Św. Kazimierza) - ja siedzę na stole, patrzę na jego kolorowego Św. Kazimierza i nagle otoczenie koło mnie się zmienia - zaczynam mówić go głośno -

przechodzę długim korytarzem, wybielonym, przez okna duże wpada słońce na ceglaną posadzkę i ściany białe. - koło mnie ktoś idzie - zdaje się w zbroi, bo błyski mi latają do oczu - --- za oknami widać fosy i municję zamku. - więc to jest zamek - wylew szeroki jakiejś wody. - to ujście Wisły -

Itd. itp. jeśli to nie są zwidy w biały dzień? Halucynacje? Omamy? Sny lękowe? Np. po tym, jak, w domyśle, lekarze powiedzieli mu w końcu, co to może być za "influenca"? Bo jeśli to nie influenza? Wtedy jasne są słowa Wyspiańskiego w liście z grudnia 1895 do Karola Maszkowskiego, który akurat szykuje się do kuracji w niemieckim zakładzie hydropatycznym: *"Ale i w ogóle na leczenie się nie ma czasu... ja też po słuszości powinienem się jakoś leczyć we Włoszech, a nie mam czasu i prawdopodobnie będę musiał umierać wcześniej, niżby można przy pewnej pielęgnacji - a więc choć nasze życie /nic niewarte/ evviva l'arte"*.

"Słowa te, z braku dokładniejszych informacji, muszą pozostać bez komentarza", pisze Monika Śliwińska, która przyjęła, że Wyspiański zaraził się kilka lat później. Ja jednak sądzę, że Wyspiański zaraził się zaraz po powrocie do Paryża w lutym 1893 roku, jeśli nie jeszcze w czasie karnawału w Krakowie na początku tego roku w którymś z krakowskich przybytków uciech (rzucił się w wir zabaw tej zimy 1892/93 po tak długiej nieobecności w Krakowie). 10 listopada 1893 Mehoffer pisze w swoim dzienniku w kontekście moich przypuszczeń bardzo znamiennej informację o Wyspiańskim: *"Jest teraz bardzo blady i mizerny i Dejean posądza go, że chory - i boi się choroby mózgowej"*.

Artysta nie ma jeszcze 25 lat, wprawdzie właśnie kilka dni temu dotarła do niego wiadomość o śmierci Matejki, co ciężko przeżywa, ale żeby aż tak? Aż po objawy choroby mózgowej? (Matejko umarł 1 listopada 1893 w wieku 55 lat, pokłócony z Radą Miasta, która wbrew protestom malarza dopuściła do wyburzenia malowniczego średniowiecznego zaułka, klasztoru duchaków, pod budowę Teatru Miejskiego, nie zgodził się na pochowanie Na Skalce.)

Jednak bardziej stawiam na Paryż, dokąd zjechał być może wyposzczony, bo nie odważył się czy też nie w smak mu było udanie się do burdelu, jak to było praktykowane w ramach "seksualnej edukacji" młodych mężczyzn (więcej w opasłej książce Kamila Janickiego "Epoka hipokryzji. Seks i erotyka w przedwojennej Polsce"), bo "porządne" panny z "dobrych" domów trzymały cnoty do ślubów (lub przynajmniej zaręczyn, co owocowało "wcześniakami", wcześniakiem był też Wyspiański, ale czy na pewno?). Poza tym przecież wiadomo, że w czasie półtoroennalego pobytu w Paryżu cieszył się dużym powodzeniem i używał życia ile wlezie (o co zżymał się bardziej powściągliwy Mehoffer). W fin de siècle'owym Paryżu wokół artystów, teatrów, wodewilów, cyrków, kręciło się mnóstwo młodych kobiet "lżejszych obyczajów" (tu z kolei odsyłam do bogatej w fakty i ilustracje książki "Paryż, miasto sztuki i miłości w czasach belle époque" Małgorzaty Gutowskiej-Adamczyk i Marty Orzeszynej, 2015). Niektóre z pewnością znały młodego polskiego malarza, świetnie mówiącego po francusku, dobrze wychowanego, delikatnego i, co tu dużo mówić, mężczyznę pięknego, charyzmatycznego, o magnetycznym spojrzeniu niesamowicie niebieskich oczu.

Wypiański bez owijania w bawełnę pisał do Rydla: *"Ileż razy musiałem kobietę wpródy zaspokoić a dopiero później oddaną mi układać, pozować, wtedy już rozumiała lepiej czego chciałem w tych pozach i ruch łatwo zostawiała, zatrzymywała swój naturalny"*. Co Mehoffer tak widzi (w swoim dzienniku): *"Wysp[iański] w kłopotach z powodu swoich rozgałęzionych stosunków z kobietami. - Poruszenie ogólne, narady z konsierżką, uciekanie, chowanie się - ogłaszanie się nieobecny"*. Jednym słowem mamy tu owe *"zachowania seksualne wysokiego ryzyka"* z książki *"Syf..."*.

Teosia, zapoznana muza

Dlaczego po paryskich kobietach łączy się na resztę życia z prostą wiejską dziewczyną, o której kuzynka Maria Waškowska mówi, że *"była przy tem Teosia zaczepną i wyzywającą"*? A ciotka Stankiewiczowa nie cierpiała jej z całej swojej mieszczańskiej duszy i kochającego siostrzeńca serca? Do dziś pojawiają się teksty pt. *"Czy Wypiański mógł ja kochać?"*, temat ten najwyraźniej nie daje ludziom spokoju. Taki skandal! Taki mezalians! Po dziś dzień czyta i słyszy się różne zabarwione niechęcią opinie na temat wyboru Wypiańskiego.

W książce z roku 2018 *"Służące do wszystkiego"* Joanny Kuciel-Frydryszak pierwsze zdanie na temat żony Wypiańskiego brzmi: *"O Teodorze Pytkównie trudno znaleźć dobre słowo"*. Jest to krzywdząca nieprawda! Wiele jest "dobrych" przekazów o Teodorze. Autorka *"Służących"* pisze, że w 2017 obraz *"Macierzyństwo"* okazał się najdroższym jak dotąd na polskim rynku sztuki - nabywca zapłacił za niego 4 miliony 366 tysięcy złotych. To obraz z roku 1904, Wypiańscy od 4 lat byli małżeństwem. Mimo to podpis w książce pod obrazem brzmi: *"'Macierzyństwo' Stanisława Wypiańskiego, obraz przedstawiający Teosię Pytkównę i jednego z ich synów"*, a nie *"obraz przedstawiający żonę i syna"*. Ale pewnie i autorka po ponad 100 latach jest uprzedzona, bo pisze dalej, że *"Pytkówna /.../ to kobieta z piekła rodem"*.

Jednak książka *"Służące..."*, choć są w niej takie kwiatki, jak powyższe, a także błędy typu *"Jadwiga"* o Joannie (Janinie) Stankiewiczowej, jest ciekawym studium o tej najniższej i najbardziej wykorzystywanej a zarazem najbardziej pogardzanej grupie społecznej - kobiet wykonujących swoją pracę bez najmniejszych praw, miały być tylko *"aby robotne, uczciwe i pokorne"*. I pewnie grzechem głównym Teosi był brak pokory, owa *"zaczepność"*. Można przypuścić, że właśnie to się Wypiańskiemu mogło w niej spodobać. Zresztą sam daje odpowiedź w *"Weselu"*: *"Po co się pan z chłopką żeni? / Są panny inteligentne"* - pyta Żyd, na co Pan Młody odpowiada: *"One mnie się wydają przeciętne"*.

Ale jeśli to nie wystarcza, niech przemówi Wielka Małżonka Królewska Teje, główna żona faraona Amenhotepa III z XIV wieku p.n.e.:

"Kochał mnie, ponieważ byłam krzepką, pełną wigoru prostaczką i mówiłam prawdę. Jego arystokratyczne żony o ciasnych umysłach nienawidziły mnie..." (Mika Waltari *"Egipcjanin Sinuhe"*)

Od zarania bowiem ludzie przełamują różne bariery i umowy społeczne (narodowościowe, religijne, rasowe, wiekowe, płciowe...) i łączą się ze sobą, jak im serce, temperament, fantazja czy okoliczności każą, a nie normy i

zakazy społeczne, etykieta. A już zwłaszcza jeśli są wolnymi duchem artystami, jakim ani chybi był Wyspiański.

Nie pasowało to ciotce Stankiewiczowej, oj, nie pasowało. Przypomnę: matka Wyspiańskiego zmarła na gruźlicę, gdy miał 7 lat, a jego ojciec artysta-rzeźbiarz częściej pił, niż rzeźbił. Początkowo zajmowały się nim babcia ze strony ojca i siostra ojca, ale gdy siostra matki Joanna/Janina w roku 1880 "ułożyła sobie życie" wychodząc za mąż za Kazimierza Stankiewicza, wzięła 11-letniego Stasia do swojego stadła. Wujostwo opiekowało się chłopcem jak własnym synem, wychuchanym jedynakiem (własnych dzieci nie mieli). I rzeczywiście, Staś zawdzięcza im nie tylko kochający dom, ale i dopilnowanie, by się uczył, i obszerną bibliotekę wuja do dyspozycji, i wybitnych znajomych, wśród nich Jana Matejkę (choć Matejko był też kolegą ze studiów ojca).

Ale im bardziej Stanisław stawał się samodzielny, tym bardziej oddalał się od drogi, na którą chętnie wepchnęłaby go układająca mu życie ciotka marząca o akademickiej karierze i dobrym ożenku dla siostrzeńca. Podczas gdy on chciał być artystą i tylko artystą. *"Tak był przywiązany do wolnej twórczości artystycznej, że wzdragał się przed przyjęciem wszelkiego ubocznego zajęcia"*, wspomina w 1911 roku Augustyn Wróblewski (w: "Wyspiański w oczach współczesnych"). Wolał głodować, lub wykonywać pracę twórczą zupełnie za darmo, niż robić coś, co miałoby go ograniczać twórczo, zabierać mu energię i czas. Gdy miał lat 21 wyrwał się z domu - a była to najprawdziwsza ucieczka - i wyhamował aże w Paryżu. Wiele mówi fakt, że dopiero po kilku miesiącach milczenia napisał pierwszy list do wujostwa. Gdy wuj umarł a ostala się sama ciotka, darł z nią koty. Zwłaszcza o związek z Teosią - jak się przypuszcza - *posługaczką* w ich domu.

Posługaczka, najniższej rangi służąca, miała nosić wodę i węgiel, myć podłogi i robić pranie. I siedzieć cicho. Służące były popychadłami i obiektami do pogardzania przez "panie domu", psychicznymi wentylami. Ewentualnie jakiś pan domu czy syn państwa zrobił jednej czy drugiej dziecko - służące służyły także za obiekty do "wyszumienia się" lepiej sytuowanych mężczyzn - wtedy taką pannę z dzieckiem przepędzano i na targach przypominających afrykańskie targi niewolników czy wprost od rajfurek i stręczycieli służby domowej dobierano nowe dziewczyny do robót wszelakich od świtu o nocy. Tak funkcjonowały tak zwane dobre domy. Zmorą były zachodzące w ciężę służące, bo nijak tego zatuszować (vide "Moralność pani Dulskiej"), nieślubne dzieci najczęściej miały w życiu pod górkę (wielki wyjątek Leonardo da Vinci).

Teodora Pytko miała takie nieślubne dziecko, syna, ze swym poprzednim pracodawcą, ojciec - jakiś krakowski adwokat - oczywiście miał swojego syna i matkę swojego syna gdzieś. A potem ojcem kolejnej dwójki nieślubnych dzieci Teodory miał się stać Wyspiański. Ale Wyspiański, pod każdym względem wyjątek, kochał swoje dzieci naprawdę i w końcu wbrew zwyczajom i środowisku, a najbardziej wbrew ciotce Stankiewiczowej, poślubił Teodorę, ich ostatnie dziecko, synek Staś, urodził się już "z prawego łoża", mało tego, Wyspiański usynowił syna Teodory z "nieznanego ojca".

W książkach piszą, że Wyspiański pewnie z poczucia obowiązku poślubił matkę swoich dzieci. Bo pewnie łatwiej to pojąć, niż po prostu przyjąć, że Wyspiański przesympiał się z Teosią, bo chciał i ożenił się, bo chciał. Jeszcze jako jej kochanek był zameldowany razem z nią w jednopokojowym mieszkaniu przy ulicy Szlak 23 (wtedy gdy pracownię miał w kamienicy "na Barszczowem" przy placu Mariackim 9). A potem forsował, forsował, aż przeforsował, wzięli regularny, choć nie bez komplikacji, ślub. I autentycznie go to uszczęśliwiło, jak zeznają naoczni świadkowie. Więc po cóż się zastanawiać "co w niej widział"? Może lepiej postawić pytanie, co ją, dziewczynę "z ludu", matkę, zdrową i pełną życia młodą kobietę (lubiła tańczyć, śpiewać, bawić się) skłoniło do

związania się z "biednym artystą bez przyszłości", do tego jeśli nie już chorym, to w każdym razie chorowitym (a to jakieś uczulenia, a to "bladość" i zawroty głowy)?

Co? Może to, że był po prostu ujmujący? Bo okazywał jej szacunek? Nigdy nie zwracał się do ludzi niższych rangą społeczną inaczej niż pan/pani, nie ma powodu, żeby mu nie wierzyć, gdy mówił, że robotnicy w restaurowanych kościołach go szczerze lubili, poza tym bardzo wnikliwie oceniał ludzi, z którymi się stykał, chciał mieć wokół siebie "ludzi nieinteresownych - niezależnych - wrażliwych - ", jak pisał do Rydla w którymś z listów z Krakowa. Gdy przyglądał się ludziom, zwłaszcza swoim modelom, przenikał ich do samej duszy, wydobywał ich dusze w portretach, dlatego te portrety do dziś zachwycają i zdumiewają. Musiał coś widzieć w Teosi i musiał ją czymś ująć. W sieci znalazłam mało znany rysunek węglem kobiety zatytułowany "Zamyślona", z sygnaturą SW 93, wystawiony na aukcji po śmierci kolekcjonera Juliusza Łukasiewicza (1919-2018) z Ottawy. Z opisu wynika, że przedstawia jakąś paryską modelkę:

"Rysunek jest jednym z licznych studiów, powstałym podczas - kolejnego trzeciego - pobytu Wyspiańskiego w Paryżu. Artysta uczęszczał wówczas do atelier Académie Colarossi, pracował dużo, usilnie dążąc do pełnej biegłości i swobody rysunku. Korzystał z pozujących w szkole modeli, tworząc liczne - rysunkowe i olejne, malarskie - szkice i studia modelek, których postacie i twarze ujmował z pełnym realizmem, nieukrywając wad i niedoskonałości ich budowy. 'Zadumana' należy właśnie do tego zespołu prac, zwracających uwagę silną ekspresją i mocnymi, zdecydowanymi liniami rysunku".

Ale po pierwsze sprostujmy oczywisty błąd: Wyspiański uczęszczał do Akademii Colarossiego w latach 1891-92, w czasie drugiego pobytu w Paryżu. Poza tym jego rysunki studyjne, po akademicku starannie dopracowane, nie przypominają stylu w jakim narysowana jest "Zamyślona". Moim zdaniem to może być służąca ciotki, Teosia, w chwili odpoczynku. Kobieta jest wyraźnie znużona, Wyspiańskiemu w szybkim szkicu węglem udało się oddać jej zmęczenie. Z rysów twarzy i z ubioru przypomina Teosię. Musiałby to być sam początek roku 1893, styczeń, lub pierwsze dni lutego, bo potem artysta wyjeżdża i cały rok 1893 spędza w Paryżu. Starsza od Wyspiańskiego o 9 miesięcy Teodora miałaby wtedy lat 24, była więc młodą kobietą. Jej młodsza o 9 lat siostra, którą prawie 10 lat później portretował Wyspiański, już jako jej szwagier, jest ładną niepozabawioną wdziękiem kobietą. Taka mogła być Teosia, gdy zauważył ją Wyspiański, nawet jeśli była zmęczona pracą ponad siły i nieplanowanym macierzyństwem (niektóre przekazy mówią o znacznie wcześniejszym poznaniu się Stanisława i Teofilii, jeszcze za czasów studenckich wędrowek artysty po miastach, miasteczkach i wsiach Galicji).

W 1932 roku, gdy na 25-lecie śmierci artysty wspomniano go i pisano o nim, wywiad z Teodorą zrobił Ludwik Tomanek i tak wspomina spotkanie z *primo voto* Wyspiańską (w niecały rok po śmierci Wyspiańskiego wdowa wyszła ponownie za mąż i nazywała się Waškowa, "cały Kraków" miał jej, a jakże, za złe, że jeszcze w roku żałoby, zamiast zaliczyć jej *in plus*, że wytrzymała tyle lat ciężkiej choroby pierwszego męża):

...Ujrzałem przed sobą siedzącą w fotelu starowinkę o twarzy wyżłobionej głębokiem oraniem życia, o smutnych, małych oczach... To ta pani Teosia, która była szczęściem i radością poety przez 15 lat? Ta sama, ta samiusieńka. I gdy w chwilę potem z tych oczu zaczną kapać łzy, gdy zacznie opowiadać o Stasińku, to już chyba nie ulega wątpliwości. /.../ Ta kobieta ma tyle do powiedzenia. Tak dobrze to pamięta, jakby to dziś było...

- Tak, proś pana, na weselu to ja byłam, a jakże, w krakowskim stroju tańczyłam, i z tą małą Helenką /.../

- A jak to było, proszę pani, czy to dopiero po Rydlowym weselu pani mąż powziął zamiar to opisać?

- Gdzież tam, proś pana, Pamiętam, jak mi powiedział: "No, Teosiu, jedziemy na wesele Lucjana, a ty pilnie bacz i uważaj, co oni tam będą mówić i gwarzyć. Jak ja będę w chałupie, to ty bądź na dworze, jak ja będę na dworze, ty bądź w chałupie". I tak, proś pana, ja mu to potem syćko opowiadałam, tak jak było naprawdę. A on zapisywał, a zapisywał...

/.../

- No, a panią często malował?

- Nie malował, proś pana... Farb nie używał. Ale rysował. Rysował... no, nie było dnia, żeby nie rysował. Wystarczyło mi tak się i podepsyc się, już on, nieboscyk, papier i ołówek i już rysuje. I za Madonnę byłam, i do najrozmaitszych obrazów pozowałam...

/.../

Pani Wyspiańska wydobywa z siebie te wspomnienia głosem matowym, już jakby zza świata. Ręką i chustką manewruje to przy oczach, to przy nosie. Biedna staruszka, która nigdy nie zrozumiała wielkości swego męża, tak że nawet nie czuła się nią przygnieciona... A jednak gdyby to była inna kobieta, wykształcona i światowa, kto wie, czy Wyspiański byłby z nią szczęśliwy. Potrzebował on wtedy takiej, którą wybrał. Potrzebował Teosi. - Teosia dobrze gotowała, czuwała, ubierała, strzygła swego męża. Sama użyła słowa, że był "jak lala". Dla niej to była lala, dla nas krzyk narodu.

Taka była pani Wyspiańska. Oddajmy jej sprawiedliwość.

Wspomina Wyspiańskiego także w latach 30. Jan Bartosiński, młodszy sąsiad jeszcze z ulicy Zacisze, całe życie kolega:

W okresie ślubu bywałem u Wyspiańskiego często. Po ślubie zauważyłem - i chcę to podkreślić - wielką zmianę w jego usposobieniu na korzyść. Jakby pełnym płomieniem rozblęła jego dusza. Pogoda - jasność - ciepło. /.../ Kochał [dzieci] i ją także. Że mu nie dorównywała umysłem Mój Boże - ale to nie było łatwe przebywać na wyżynach, które były jego codziennym poziomem.

Jeśli dodać do tego, co sam Wyspiański mówił, to można założyć, że z Teosią znalazł silniejszą nić porozumienia, niż z całą resztą świata: *"Aby dogodzić krytyce musiałbym sobie [o]dejmować kolejno głowę, mózg, serce, czucie, zmysły, słuch, wzrok - bo wszystko mi kwestionują"* - pisał w liście do Rydla z 13 lipca 1896.

I stąd też jego pełne gorczy słowa o ludziach Krakowa.

Zresztą z krytykami też ciągle był na bakier. Dziwowali się ludzie, że Wyspiański z prostą kobietą... ale sami też byli prości, choć przecież po różnych szkołach i w swoim mniemaniu wielce wyrafinowani. Jeszcze raz zacytuję Jana Bartosińskiego:

W Węgrzcach odwiedzałem Wyspiańskiego za każdym przyjazdem do Krakowa. Raz zapytałem go, czy czytał w "Przełądzie" rzecz Stanisława Tarnowskiego o dramacie. Odpowiedział:

- Czytaliśmy (pluralis maiestaticus używany przez Tarnowskiego), aleśmy się niczego nie nauczyli. Ja potrzebuję krytyki, ale takiej, z której mógłbym się czego nauczyć. Pisze p. Tarnowski, że nie czytał ... Cóż mu przeszkadzało? Zresztą teraz jestem już tylko ciekawy tego, co sam napiszę.

Ale choć wiele krzywdy wyrządzili mu ludzie nierozumiejący jego sztuki, jeszcze więcej cierpienia przysporzyła mu jego własna kochająca go, ale kochająca go nierozumiejąco, zaborczo, ciotka.

Znowu wspomina Jan Bartosiński (z Węgrzec już):

Oto użalił się raz: "Czy ty wiesz, dlaczego mnie ciotka chce stąd zabrać? Nie przez troskę o mnie, ale przez ambicję. O to jej chodzi, co sobie pomyśli jakiś gość z Warszawy, zwykły osioł, zobaczywszy, że kura chodzi po pokoju".

I dodaje: *"...było w rozgoryczeniu serca pani S. dużo próżności. Obserwowałem godność, z jaką obnosiła patrycjat krakowski".*

Ale już Leon Płoszewski, wydawca i komentator zbioru wspomnień, z której pochodzą te cytaty, "Wyspiański w oczach współczesnych" sprostowuje: *" - Słowa - jeśli wiernie powtórzone - były wypowiedziane w chwili rozdrażnienia i krzywdzące ciotkę Stankiewiczową, którą bolał brak opieki nad chorym".*

Wielka jest moc konwencji!

Ciotka Stankiewiczowa nigdy nie uznała małżeństwa swojego wychowanka, ale on jakoś zawsze umiał się jej postawić. Niestety, umarł, a wtedy ciotka zrobiła rzecz straszną, odebrała Teosi dzieci - drogą legalną, poprzez prawników, wykorzystując swoje wpływy i pozycję - , matce zabrała dzieci, a dzieciom matkę ("bo przecież dzieci Wyspiańskiego nie mogą zostać z taką babą!"). Uciekały do matki z Krakowa do Węgrzec, starały się z nią spotykać, ale zawziętość ciotki była większa, jej możliwości towarzystko-urzędnicze skuteczniejsze, a one za małe, za słabe. Helenka wspominając ten kolejny dramat w ich życiu podsumowała krótko, że wraz ze śmiercią ojca skończyło się szczęśliwe życie. Ktoś (kto???) powiedział najstarszemu Teodorowi (Tadkowi), który całe swoje dotychczasowe życie żył w przeświadczeniu, że Wyspiański był jego ojcem, którego kochał jak ojca, podziwiał, chciał iść w jego ślady, że to nieprawda, że nie jest synem autora "Wesela".

Monika Śliwińska w ostatnim rozdziale swojej książki pisze:

Teodora Wyspiańska-Waškowa nigdy nie zrezygnuje z walki o przywrócenie praw opiekuńczych. Po Józefie Skąpskim i Adamie Chmielu prawnym opiekunem Tadeusza, Heleny, Mieczysława i Stanisława Wyspiańskich zostanie Karol Radoń, pracownik działu rachunkowego w krakowskim magistracie. Rozpocznie się tułaczka dzieci Wyspiańskiego po zakładach wychowawczych w kraju i za granicą i długa, nieutulona tęsknota.

/.../

Teodor (zwany Tadkiem) umiera jako pierwszy z dzieci Wyspiańskich. Na gruźlicę płuc 14 marca 1916 roku w oddziale dla nerwowo chorych szpitala św. Łazarza. Ma lat 23.

Tragiczny los spotyka także Mieczysława, we wrześniu 1919 roku jako podporucznik 6 Kompanii 13 Pułku Piechoty Wojsk Polskich trafia do niewoli sowieckiej i ślad po nim ginie, w roku 1943 po wieku nieskutecznych poszukiwaniach zostaje uznany za zmarłego.

"Rozdzielonemu z bratem Stasiowi Wyspiańskiemu przypadnie w udziale ciężła wędrówka. Niepogodzony z przeszłością i terażniejszością, od lat dwudziestych będzie leczył się w ośrodkach zdrowotnych dla nerwowo chorych". (z: "Dopóki starczy życia")

Jednak "Mały Staś" Wyspiański znajduje kandydatkę na żonę, żeni się w wieku 46 lat w roku 1948. W 1949 roku przychodzi na świat jego jedyna córka, Dorota. Stanisław rzadko wypowiada się o ojcu, niewiele o osieroconym dzieciństwie. Umiera na białaczkę 4 stycznia 1968 roku w wieku 67 lat.

28 listopada 1971 roku, w dniu 64. rocznicy śmierci Wyspiańskiego umiera Helenka Wyspiańska od 1916 roku żona Adama Chmurska. Państwo Chmurscy mają dwoje dzieci, Adama juniora i Krystynę.

Wyspiańska, czyli komu jeszcze powinien zabić dzwon Zygmunta

/.../

*Przecież już dawno się wyzbyłem
marzeń o utraconym raju.*

*Żyję, by zwało się, że żyłem...
nad jakąś rzeką, w jakimś kraju....*

*Nad jakąś rzeką w jakimś mieście,
gdzie ślubowałem ślub niewieście,
gdzie dom stworzyłem jej i sobie
z myślą o jednym wspólnym grobie.*

*A na tym grobie, wspólnym domie,
niechże mi wicher gałązki łomie /.../*

fragment wiersza Stanisława Wyspiańskiego [Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić]

A jednak nie stało się zadość życzeniu jednego z naszych najgenialniejszych, najwszechstronniejszych i najbardziej znanych artystów. Nie leży razem z poślubioną żoną, matką wspólnych dzieci, swoją muzą, towarzyszką lat ciężkiej choroby, opiekunką i powierniczką. Polacy nie pozwolili mu na to. Leży w swoim grobowcu sam tak jak za życia, tak i po śmierci niezrozumiany. Myślę, że byłby czas, żeby to zmienić, Teodora Wyspiańska powinna spocząć obok swego słynnego męża równie słynna jak on, uwieczniona na tyłu wizerunkach tak cennych na rynku sztuki. Handluje się także niezliczoną ilością gadżetów - pamiątek z Krakowa z "wyspiańskianami", a jednak o Teosi, bohaterce tyłu znanych powszechnie obrazów ktoś jeszcze dziś potrafi napisać: "Z charakteru kłótniwa, po chłopsku uparta, odporna - nawet na kiłę". Odporna nawet na kiłę? Cóż za wierutna bzdura! Nikt nie jest odporny na kiłę!

Ktoś inny potrafi powiedzieć w YouTubowym edukacyjnym filmiku, że żona Wyspiańskiego była "terrorystką", że przymuszała ciężko chorego męża do pracy ponad siły, żeby tylko pieniądze płynęły. Nieraz słyszy się / czyta, że była analfaberką, otóż nie była, tyle że pisała jak mówiła, gwarą. Że nie da się o niej powiedzieć niczego dobrego? Proszę bardzo, oto, co opisuje Wyspiański w liście do Stanisława Lacka (z 12 kwietnia 1905, oczywiście pisownia oryginalna):

"Przyszedł do nas wczoraj wieczów przybłąda, chłopiec mały, dziecko dwunastoletnie; uciekł ze wsi, gdzie służył do koni i była za pastucha, sierota, którym się nikt opiekować nie chce i nikt nie zamierza o nim pomyśleć. Żona przyjęła go na służbę i był zdziwiony, jak mu dziś rano kazała pisać. Trzeba będzie posłać go do szkoły, bo ledwo ma dwie klasy normalne".

Dla zmarłych nie ma to znaczenia, gdzie i obok kogo leżą, ale dla żywych jak najbardziej, serce dzwonu Zygmunta powinno jeszcze raz zabić Stanisławowi Wyspiańskiemu. Jemu i jego żonie połączonych w grobie "wspólnym domu" - nareszcie razem. Bo moje serce kraje się na myśl o tym, że do dziś ktoś zupełnie serio pyta "jak on ją mógł kochać?", a nie pyta, jak mogliśmy mu to zrobić? Na resztę wieczności rozdzielić go z najważniejszą kobietą jego życia, tą, o której uznanie tak bardzo zabiegał? Szczycić się nim, zarabiać na jego dziełach, a nie uszanować jego woli?